

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

FOSFORESCENCYA ROŚLIN.

Blask, jaki wydają w ciemności niektóre rośliny i kwiaty, stanowi — trzeba przyznać — jedno z najciekawszych zjawisk w królestwie roślinnym. Słynny przyrodnik Lineusz pierwszy zwrócił uwagę uczonych na to szczególne zjawisko, nieznane i nie badane aż do jego czasów. Przechadzając się raz, gdy był jeszcze młodzieńcem, w cichą, piękną noc letnią, w ogrodzie swego ojca, stanął zdumiony przed kępą nasturcyi pospolitej, której kwiaty zdawały się jaśnieć wśród ciemności wszystkimi kolorami tęczy.

Uderzony niezwykłością zjawiska przyszły uczony, powtarzał wielokrotnie nocne wycieczki, a za każdym razem mógł stwierdzić, że aż do wschodu słońca dziwne światło unosiło się nad kwiatami nasturcyi. Fizyk tejże epoki, Wilcke, któremu młody Lineusz opowiedział o swem zajmującym spostrzeżeniu, przypisał tę szczególną własność elektryczności, opinię tę podzielali także inni uczeni, którzy zajęli się również tą ciekawą własnością. Jednakże nie wszyscy zgadzali się na to, niektórzy utrzymywali, że zjawisko to było tylko pozorne, przypisując je jedynie złudzeniu optycznemu, mimo to, twierdzenie Wilck'a znajdowało zawsze wielu zwolenników.

Bardzo wiele kwiatów posiada własności podpatrzone w nasturcyi, między innymi lilie błotne, rosnące obficie na bagnach Afryki południowej. Przyrodnik Darwin, który zbliżka obserwował te kwiaty, przedstawia je jako najwybitniejszy typ roślin wydających światło. Twierdzenia stanowcze licznych badaczy nie pozwalają wątpić, że pewne rośliny cieszą się szczególną własnością wydawania blasku podczas nocy.

Naturalista szwedzki, Haggren zamilowanie w tych nowych poszukiwaniach posunął tak daleko, że utrzymywał osobnego stróża, zalecając mu, aby przebywał całe noce w oranżeryach, i oznajmiał mu natychmiast o każdej roślinie, któraby zajaśniała. Tym sposobem uczony ten mógł się przekonać, że blask wydobywał się z roślin tylko po dniu słonecznym, w czasie dżdżystym był zupełnie niewidzialnym. Blask ten występował z siłą większą w miesiącach lipcu i sierpniu; ukazywał się mniej więcej w pół godziny po zachodzie słońca, aby zniknąć dopiero z ukazaniem się jutrzeńki.

Haggren prowadził dalej swe poszukiwania, badał te



Rośliny i kwiaty świecące.

szczególne kwiaty pod mikroskopem, aby się przekonać, czy zjawisko nie było spowodowane obecnością owadów, lub jakichkolwiek organizmów wydzielających to szczególne światło. Doświadczenia te powtarzane kilkakrotnie wykazały

nieprawdopodobieństwo podobnego przypuszczenia, nie znalazł bowiem nic i stwierdził, że zjawisko miało prawdopodobnie początek w elektryczności. Utrzymywał jeszcze, że pyłek kwiatów gra ważną rolę w wytwarzaniu tego światła. Zdanie jego potwierdzało to, że kwiatki nasturcyi, na której robił doświadczenia, jaśniały najżywszym blaskiem w epoce pełnego rozkwitu.

Dowden i trzej inni botanicy zauważyli to samo zjawisko po wiele razy. Z badań swych zdawali sprawę w dzienniku Botanicznym wychodzącym w Londynie około r. 1842. Canon Russel, świeżo w ciągu ostatnich lat 10 stwierdził zjawisko podobne. Jego pamiętniki naukowe dowodzą, że badana przez niego fosforescencya rozciąga się aż do liści różnych roślin a w szczególności nasturcyi. Uczony ten wykazał, że wydawany blask jest jeszcze widoczny po oderwaniu liścia od rośliny.

We wrześniu 1891 r. pisał on co następuje: Wieczorem w czerwcu 1889 r. przechadzałem się po ogrodzie, przechodząc obok dubeltowej knieci pospolitej *Calendula officinalis*, byłem uderzony silnem światłem promieniejącem naokoło kwiatów. Czekałem kilka sekund i obserwowałem ku wielkiemu memu zdziwieniu iskrzący się blask, który zdawał się unosić nad płatkami. Początkowo sądziłem, że podlegałem złudzeniu wzroku, więc aby zdać sobie dokładnie sprawę z tego co widziałem, zwołałem kilka innych osób i pytałem czy spostrzegają coś nadzwyczajnego. Niektóre zawołały, że widzą małe płomyki skaczące naokoło kwiatu knieci, inne zaledwo je rozróżniały i to tylko w rzadkich odstępach, niektóre wreszcie jakby na złość natężonej uwadze, nie spostrzegały nic niezwykłego. Zależało to naturalnie od siły wzroku bardzo różnej u tych osób ich nerwy wzrokowe były mniej, lub więcej wrażliwe. Zjawisko to rozpoczęło się między 8 a 9-tą wieczorem, trwało całą godzinę ze znacznymi przerwami wzmocnienia lub słabnięcia światła. W pewnych chwilach cała roślina jaśniała nadzwyczaj żywym blaskiem.

Dictamnus fraxinella, którego 3 gatunki hodują po ogrodach: biały, różowy i purpurowy, zdaje się przewyższać siłą światła wszystkie rośliny świecące w ciemności. Roślina ta obfituje w olejek, który w chwilach silnego rozgrzania, rozlewa się cienką warstwą na powierzchni kwiatu, a potem się ulatnia, przesycając tą substancją otaczające powietrze. Olejek ten posiada własność wydawania światła w ciemności, tym sposobem kwiat przedstawia się tak, jak gdyby się zapalał w zetknięciu z otaczającą go atmosferą.

Euphorbia phosphorea, rosnąca w obszernych lasach brazylijskich, posiada także w wysokim stopniu własność fosforescencyi. W tych samych okolicach żyje roślina łąkowa, tamtejsi mieszkańcy zwą ją khus-khus, świeci ona także jasnym blaskiem w pewnych godzinach nocy. Podróżnicy zasługujący na wiarę opowiadają, że konie i inne zwierzęta szczypiąc tę trawę zatrzymują się zdziwione i przestraszone, widząc ją rozświetlającą się nagle i wydobywającą się z niej ogniste płomyki, które skaczą we wszystkich kierunkach.

Sok dzikiego wina w Ameryce południowej, znany krajowcom pod nazwą sipó, wycieka i opada z łodygi jakby łyż ogniste. Jeżeli kwiaty posiadają w wysokim stopniu własność fosforescencyi, rośliny niższe jak porosty, mchy, grzyby świecą w tych samych warunkach blaskiem różowej siły.

W okolicach Drezna mianowicie istnieje wiele kopalń węgla, w kopalniach tych rozmnaża się pewien rodzaj bedłek

bardzo małych, czepiających się boków studzien, prowadzących do galeryi. Dają one zwiedzającym złudzenie świecących o zmiennych barwach festonów, które jakby przez ręce ludzkie porozwieszane zostały we wszystkich kierunkach po ścianach.

Długo czas sądzili botanicy, że mają do czynienia z jakimiś osobliwymi gatunkami, gdy tymczasem ciekawe te rośliny należą do bedłek jadalnych. Znakomity naturalista Józef Hooker utrzymuje, że źródło tej fosforescencyi spoczywa w paleniu się powolnem, bez wydzielania ciepła, które to palenie dokonywa się w mycelum grzybów, w skutek zetknięcia się tlenu z tą materią. Indyje północne mają także bedłki podobne do rosnących w kopalniach Saksonii.

Agaricus olearius, grzyb pospolity w południowej Francji, rośnie, jak to nazwa jego wskazuje, na korze drzew oliwnych, czepiając się najdrobniejszych szczelin. Pasożyt drzew tych ukazuje się w miesiącach październiku i grudniu i przekształca pień oliwek w jaśniejący słup, co sprawia efekt nadzwyczaj oryginalny. Botanicy przypisują tę własność tym samym przyczynom, jakie wskazuje Hooker dla bedłek rosnących w kopalniach Saksonii.

Równie godnym uwagi jest pasożyt palmy brazylijskiej. Fosforyczne światło jego żółtawo-białe o jasnym blasku da się porównać pod względem siły i piękności do światła, wydawanego przez świetlika krajów gorących. Inny okaz skrytokwiatowca, pochodzącego z wyspy Borneo, rośnie jak i poprzedni na różnych drzewach i wydaje blask z odcieniem zielonawym, podobnym do iskier elektrycznych. Gdy krajowcy ujrzą to szczególne światło, błyszczące wśród ciemnej nocy, uciekają przerażeni, sądząc, że zły duch im się ukazał.

Poprzestaniemy na tych przykładach, uzupełniając je zaznaczeniem ciekawych doświadczeń, wykonanych przez doktora Tulasne. Stwierdził on, że światło fosforyczne wydzielane przez grzyby niknęło zupełnie w próżni lub w otoczeniu, zawierającym tylko gaz niemożliwy do oddychania. Wniosekował z tego, że stosownie do twierdzenia Hookera, wytwarza się w ciele grzyba pewna kombinacja między tlenem z otaczającego powietrza a substancją właściwą roślinie. Takie jest tłumaczenie najwięcej zbliżone do prawdy i przyjęte ogólnie przez uczonych, owych niezwykłych faktów, jakie obserwować można na znacznej liczbie roślin jaśniejących blaskiem fosforycznym wśród ciemności nocy.

WYROBY ZE SKORUPEK ŚWIEŻYCH JAJEK.

Przedmioty, które nam załączona rycina wskazuje, wyrobione ze skorupki surowych jajek, służyć mogą za dowód, o ile ten materiał tak delikatny i kruchy, nadaje się jednak w zręcznych rękach cierpliwych amatorów do wyrobu fantazyjnych drobnostek, służących nietylko do zabawy, ale nawet do pewnego użytku, bądź jako małe wazoniki do kwiatów, bądź też jako małe koszyczki.

Zabawka ta, przedstawiająca się na pierwsze wejrzenie jako niemożliwa prawie do wykonania, nie kryje w sobie jednak żadnej sztuki, lub naukowych doświadczeń, a jedynym potrzebnym tu narzędziem jest cieniutka piłeczka, używana ogólnie przez złotników i zegarmistrzów, którą za 10 kop. nabyć można w każdym sklepie żelaznym.

Stosownie do wielkości jajka i przecięcia, jakie mu nadać zamierzamy, wykroić należy z grubego brystolu nieco szerszą obręczkę, którą przytwierdza się do skorupki za pomocą laku, używanego do pieczętowania listów. Dla wzmocnienia skorupki lak powinien się znajdować z przeciwnej strony tej, którą piłeczka ma obrabiać, piłkę zaś trzymać należy prosto przy obrączce z papieru i piłować równo i spokojnie, boć oczywiście, zważywszy kruchość przedmiotu, uwaga i delikatność w dotknięciu są tu bodaj najważniejszymi czynnikami, by się dzieło całkowicie udało.

Weźmy więc np. fig. 7 naszej ryciny, która przedstawia koszyczek z pałączkiem; aby takowy wykroić wkłada się na jajko dwa równoległe do siebie w stosownem oddaleniu przy-mocowane obrączki z papieru i piłuje się obok nich skorupkę tak daleko, jak głęboki chcemy mieć koszyczek. Następnie opróżniwszy zawartość jajka, wkładamy obrączkę dobrze przystosowaną do jego długości i odkrawamy przy niej dwie części boczne, nie tykając naturalnie pałączka.

Aby znowu otrzymać wazonik, ścina się (zawsze z zachowaniem wyżej podanych ostrożności), wierzchołek jajka, który następnie z pomocą laku przymocowuje się, jako podstawa do dolnej jego części; brzegi opiłowane wygładzić można cienkim, powszechnie znanym papierem szklanym.

Jeżelibyśmy jednak chcieli wykonać jeszcze znajdujące się u niektórych czareczek wycięcia i ozdoby, to już trzeba odpilowaną część wypełnić mialkiem, z wodą rozrobionym gipsem, który ma własność szybkiego stężenia; w ten sposób, skorupka nabiera wielkiej wytrzymałości i można ją scyzorykiem dowolnie obrabiać. Usunięcie następnie gipsu nie przedstawia żadnych trudności, bowiem odłączenia jego ze skorupką zabezpiecza znajdująca się wewnątrz cieniutka błonka.

Figura 1-a i 2-ga przedstawiająca fontannę Herona, jako już złożone z więcej części, wymagają też bardzo dokładnego zestawienia, aby należycie funkcjonowały. Grube słomki pszenicy dobrane długością i bez kolanek czyli złazzeń, służą tu za rorki połączenia. Przytwierdza się je również lakiem i przeprowadza przez kurek, w którym odpowiedni otwór wypala się drutem. Gdy do skorupki tych czyli banieczek nalejemy wody w $\frac{3}{4}$ ich objętości i szczelnie zalakujemy wszelkie spojenia, a następnie tak samo, jak z piłką Herona, silnem dmuchnięciem przez górną rurkę napędzamy do środka więcej powietrza, wtenczas ono siłą swej sprężności wypycha wodę, która z oryginalnej tej fontanny wytryska stosunkowo dość wysokim strumieniem.

Na zakończenie dodajmy, że miło nam będzie dowiedzieć się, jakim powodzeniem wśród naszych czytelników uwieńczone zostały próby w wykonaniu tej niewinnej zabawki, którą słusznie nazwać możemy próbą cierpliwości.

Wiosenny dar.

Rankiem dziewczeczka fijołki rwała,
Srebrną niteczką je przesnuwała,
I tak chodziła, i tak myślała,
Swoją robotą zajęta cała:

Wjcie się, wjcie drobne kwiateczki!
Zwiążę was tkanką, binieję wstążeczki,
A potem skromny wianeczek złożę
Tobie, ach, Tobie jedynie, Boże!

Co, uwieńczony w kolce cierniowe,
Jako te fiołki pochylasz głowę;
Jako te fiołki — świętej pokory,
Tak piękne, wonne, choć skromne wzory.

O spójrz litośnie z wysoka, Panie!
Na ten wiosenny dar, co w zaranie
U stóp Ci składam dzisiaj w ofierze...
Ja w Twoje słowa tak silnie wierzę!

W Twą miłość, która wzmacnia nadzieję;
W światło, co zorzą rajska nam dnieje;
Że ufniej wołam: O wskaż mi drogę
W Twój świat! bo sama dążyć nie mogę;

Wiedź tam, na łęką Twą nieskończoną,
Gdzie inne kwiaty słoneczne płoną;
Wspieraj!... Tu jeszcze, z moimi razem,
Dozwał mi klęknąć przed Twym obrazem,

Chylić się nisko w prochu, w milczeniu,
Jak Twoje kwiecie w gajów zacieniu,
Gdy z krzyża Twego, z niebios podwoi
Schylasz się, Zbawco, ku duszy mojej.

A kiedy w nocy wielkiej, świątecznej
Powstałeś, wznosząc się w kraj przedwieczny,
Do Ciebie korne wznoszę błaganie:
Zgiętych cierpieniem podnieś, o Panie!...

E. M.

Wspomnienia z pierwszych lat moich

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

Cała gospodarka odbywała się na ganku. Tu stryj wydawał polecenia swym *szluchciom*, tu niemal co dzień przychodzili włościanie z rozmaitemi prośbami. Zaczynali zazwyczaj od słów: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”! poczem następowały słowa: „dopraszam się łaski wielmożnego pana”.

To dopraszanie miało na celu zamianę wołów na nowe, lub uzyskanie zboża na zasiew. Stryj łajał najprzód za niedbalstwo, ale nigdy nie odmawiał nic pocziwym swym włościanom, którzy też kochali go jak ojca.

Sąsiedzi napominali stryjaka, że daje zły przykład w okolicy. Stryj kiwał na to głową i powtarzał spokojnie: „Bóg dał kęs chleba, niechże go i drudzy przy mnie nie ułakną”.

Dziwili się też sąsiedzi, że w Wrzelach zboże nie chybi nigdy, że dobytek chowa się wybornie: stryj odpowiadał na to: „U mnie Pan Jezus gospodarzem, N. Panna gospodynią, i dla tego dobrze się dzieje”.

Pobożny był głęboko. Ilekroć zachorował choćby na prosty katar, posyłał do Łowicza po doktora, a do parafii po księdza. Nim przybył doktor, wprzód chory przyjął Sakramenta i czekał, co mu Bóg przeznaczy.

Gościnny stryj zapraszał mamę na każde święto, czy to Boże Narodzenie czy Wielkanoc: nauczycielka moja spędzała ten czas u rodziców swoich. Nie było dnia, żeby ktoś nie przybył z sąsiedztwa. Wtedy zasiadano do wista, ulubionej gry stryjaka i mamy. Ja zostawiona sama sobie, chwyciłam książki tak polskie jak francuskie, złożone na półkach w ciemnym pokoiku. Stryj nie miał właściwej biblioteki, lecz bardzo lubił czytać. Wszystko żywo go zajmowało. Mały jego księgozbiór składał się z dzieł najrozmaitszej treści. Obok Biblii, był tam kodeks praw, obok księgi lekarskiej, tragedye Kornela i Woltera, były nawet świeżo wydane poezye Adama Mickiewicza. Nie zapomnę nigdy, z jaką zgrozą mama zastała mnie raz nad Wolterem.

— Zmیلujże się, panie Feliksie — zawołała, rzuciła

książkę na stół — godziż się mieć w domu takie bezecne rzeczy. Myślałby kto, że z pana brata jakiś heretyk. Ta dziewczyna to czyta i połyka zaraz. Boże zmiłuj się nad nami.

— Uspokój się pani bratowo — odrzekł stryj z uśmiechem — czyta i nie rozumie, mogę ręczyć, francuzczyzna jej bardzo słaba.

— Ale jak można trzymać takie książki, rzucę je zaraz w ogień.

— Uchowaj Boże — zawołał stryj — to książki pożyczane, wcale ich nie kupilem.

Zamknęła Woltera z żalem moim, co tam być musi, po myślałam sobie, kiedy mi czytać zakazują!

Czytałam, a raczej przerzucałam wszystko, co mi wpadło pod rękę, nie wyłączając kodeksu. Miałam wtedy lat dziewięć. Pamiętam, jak raz przy wieczery, wszczęła się rozmowa o jakiejś kwestyi prawnej, dotyczącej spadku. Różniły się zdania: przeczytałam właśnie przed godziną ustęp odpowiedzialności do dyskusji. Czym go zrozumiała, nie ręczę za to, nie mogłam jednak wytrzymać, wkręciłam się do rozmowy.

— Podług mnie — rzekłam — tak a tak być powinno.

Wszyscy w śmiech.

— Zkądże to wiesz? — zapytała mama.

— Czytałam to w tej wielkiej księdze, co tam na półkach leży — odrzekłam trochę zawstydzona.

— Przynieś-że ją ty *wszystkowiedzu* — zagadnie stryj ze śmiechem.

Przyniosłam kodeks, nie wiem już czy rozstrzygnięto spór podług mojego zdania, wiem tylko, że wszyscy śmieli się ze mnie.

— I cóż dziwnego — rzekł obecny sąsiad — że córka sądziego pokoju musi znać się na prawie.

Odtąd nazwano mnie panną sędzianką, co mnie okropnie gniewało. Stryj zwał mnie *wszystkowiedzem*, wołałam już to od panny sędzianki.

Ileć stryj przebywał w domu naszym, zjawiał się zaraz wuj Franciszek. Dom wtedy dziwnie się ożywiało. Rozmowa nie ustawała, z ust ich syłały się dawne wspomnienia, dyktoryjki, swobodne żarty, nieraz wiersze naprędce zaimprovizowane. Nie spuszczałam z nich oka. Widzę jeszcze tę białą głowę stryja obok rumianej twarzy, ten uśmiech na ustach wuja Franciszka, ów zapach w jego błękitnym oku. Ileż oni mnie nauczyl!

Panna Rapacka poszła za męża, przebywszy cztery lata w domu naszym, później nastąpiły dwie inne nauczycielki, lecz te nie odpowiadały życzeniom mamy. Troskliwa o wykształcenie moje, uniosła oddać mnie pod opiekę przyjaciółki, pani Maciejowej Zabłockiej, która mieszkała latem na wsi w Bzinach, w bliskości Wrzelów, a trzy części roku przepędzała mężem w Warszawie. Z dwóch jej córek, młodsza była ze mną w jednym wieku, miałyśmy też uczyć się razem. Wuj-

wi Franciszkowi, jak się później dowiedziałam, nie przypadł do myśli taki projekt.

— Wierz mi pani sestro — mówił do mamy — ta nauka na nic się nie przyda dziewczynie. Jeśli chcesz ją wychować na lalkę salonową, to ją oddaj do tego sfrancuziałego domu. Nauczy się tam paplać akcentem paryżkim, bodajby tylko po polsku nie zapomniała.

— Ależ mój Franusiu — odparła mama — pani Maciejowa taka dobra, strzedz ją będzie jak oka w głowie. Polskiego języka niepodobna zapomnieć w swoim kraju, a francuzkiego na żadnej pensyi nauczyć się nie można. Ja sama byłam oto na sławnej pensyi pani Fort, uczyłam się po francuzku trzy lata, a jak przyszło potem rozmawiać z Francuzami, gdy stali kwaterunkiem, zapomniałam języka w ustach. Co do Seweryny — dodała mama — poprobuję rok jeden. Weź ją na egzamin Franusiu, zobaczysz co umie, przywież ci ją z przyszłą wiosną, wybasz ją znowu. Jeżeli przez ten czas nie wiele się nauczy, oddam ją na pensję pani Wilczyńskiej.

— Zgoda na to — odparł wujaszek. Wezwany do rady stryj Feliks zgodził się na ten układ.

Tegoż dnia po wieczery, pół żartem a pół seryo wujaszek wziął mnie na ścisły egzamin. Byłam uszczęśliwiona, raz, że lubiłam popisywać się swoją nauką, a potem, że w słodkim uśmiechu wujaszka, widziałam zadowolenie z moich dziecinnych odpowiedzi. Wyliczyłam z kolei wszystkich królów naszych, zaplatałam się tylko przy wnukach Krzywoustego. Wujaszek mi to wyrozumiał z powodu zagmatwanych spraw tej epoki.

Podał mi mapę, kazał oznaczyć granice Polski, rzeki i większe miasta.

Wywiązałam się nieźle, wujaszek był zadowolony. Wyrecytowałam jeszcze parę bajek Krasickiego i parę śpiewów historycznych. Przeszliśmy z kolei do rachunków. Dodawanie szło jak pacierz, odejmowanie jako tako, mnożenie słabiej, ale przecie wybrnęłam, obliczając cyfry na palcach.

— Tam gdzie będziesz, pewno tyle nie umiesz — rzekł wujaszek, i z uśmiechem spojrzał

na mamę. — Stało więc na tem, że za parę tygodni odwiezie mnie mama do Bzin, gdzie zabawi dni kilka, abym przy niej cokolwiek przywykła do nowych miejsc i nowych osób. Nieraz byłam już z mamą w Bzinach, biegałam po ogrodzie z rówieśniczką moją Ecią, ale byłyśmy obie wychowane w zbyt odrębnych warunkach, abyśmy mogły od razu przylgnąć do siebie. Ecia mówiła najwięcej po francuzku; gdym się odważyła parę razy odpowiedzieć tym językiem, nie uszedł oku mego pogardliwy uśmiech na jej ustach; raził ją mój zły akcent. Wobec niej czułam się upokorzona i nieśmiała.

Z bojaźnią myślałam o tem rychłym wyjeździe z domu. Żał mi było pocziwej pannusi, a i ona też niechętnem okiem patrzyła na ten układ, i niejednem słówkiem podniecała mą-



Grzyby i liany świejące.

trwogę. Żał mi też było starej Frąckowej, co mnie wypiastrawała, a potem hodowała kurczęta i indyczki; żał mi było tych niedziel spędzonych z kochaną babulką przy loteryjce, a nade wszystko trwożyła mnie myśl, jak to będzie bez mamy, z którą przez lat blisko dziesięć nie rozstawałam się ani na chwilę.

Dobra matka cierpiała również nad tem rozłączeniem, lecz pełna silnej woli, gdy szło o spełnienie tego, co uważała za powinność, — nie cofnęła się przed żadną ofiarą.

W początku jesieni mama odwiozła mnie do przyjaciółki. W kilka dni odjechała i my też wyruszyliśmy do Warszawy.

Ja, wychowana w szlacheckim domu, zamożnym ale utrzymywanym bez zbytków, po staropolsku, wpadłam tu w świat zupełnie dla mnie obcy, w tryb życia wprost przeciwny od naszego. Państwo Zabłocki mieli niegdyś znaczny majątek: została jeszcze w ich ręku wieś Osiny z murowanym pałacem o piętrze i wielkim ogrodem, piękna, ale odłużona i całkiem zaniedbana. Mimo, że dochód nie wystarczał a długi rosły, nie chcieli zmienić trybu życia mając córkę dorosłą, wykwiśniętą wychowaną. Majątek ich nadzarpany zbytkiem i dwuletnim pobytem za granicą, gdzie mieszkała bliska ich krewna. Oboje bawili się wesoło, a porwani wirem, jaki Paryż roztacza, nie myśleli wcale o jutrze.

Po śmierci krewniej, powrócili do kraju z czteroletnią córeczką. Życie w Bzinach wydało im się smutne i bezbarwne. Zamieszkali w Warszawie urządzili dom z całą wytwornością paryżką, rzucili się w świat arystokratyczny, który przygarnął ich tem chętniej, że dwa lata spędzone w Paryżu, otoczyły ich jakąś błyszczącą aureolą. Co więcej pani Zabłocka nadzwyczaj miła i dobra, pociągała do siebie serca. Bziny tymczasem upadały; był tam jeszcze piękny las, ten wycinany częściowo, stanowił przez lat kilka główne źródło dochodu, lecz i to w końcu się wyczerpało.

Taki był stan rzeczy, kiedy się dostała do domu państwa Zabłockich. Mieszkali przy ulicy Miodowej. Salon ich niewielki, odznaczał się wytwornym smakiem.

Dwór znacznie już zmniejszony, składał się z lokaja, kucharza, stangreta, pokojówki i panny służącej. Rzecz dziwna, ci ludzie mało płatni źle żywieni, trzymali się jednak na miejscu; nagradzała im wszystko wyrozumiałość pana i anielska dobroć pani.

Pamiętam nie raz, jak pani Zabłocka ubrana w atłasy i koronki, wyjechała wieczorem na bal ze starszą córką. Pan Zabłocki poszedł ze swej strony na partę wista lub maryasza; ja z towarzyszką moją, zostawałam w domu pod opieką panny służącej. Wieczereczkę naszą składała herbata, często bez cukru i bułeczka bez masła. Nigdy jednak nie skarżyłam się na to, nie czułam się wcale pokrzywdzoną, jedna pieszczota

opiekunki starczyła mi za wszystko, bo ją kochałam całym sercem.

Te codzienne wieczory o suchej bułce, nagradzały nam hojnie baliki dziecinne co niedziela w kilku arystokratycznych domach, mianowicie hr. Łubieńskich. Mówiono tam wyłącznie po francusku, z początku czułam się upokorzoną, znałam kilkadziesiąt wyrazów, ale nie umiałam ich skleić, w rodzajach płatałam się bez ustanku, wymawiałam w najśmieszniejszy sposób. Wkrótce jednak obznajmiłam się z francuszczyzną i wielkie czyniłam w niej postępy.

Dopomogły mi do tego lekcye pani Lefort, która przychodziła codziennie na parę godzin, wykladała nam historię i gramatykę, zadawała ćwiczenia, kazała mi dla wprawy uczyć się całych ustępów z Zairy, Andromaki i innych tragedii klasycznych. Oprócz tego przychodził parę razy w tydzień metr muzyki, Żywny, stary Czech, z ogromnym nosem, ten sam który uczył Fryderyka Chopina. Ze mną tak mu się nie udało. Rysunków uczył p. Sobieban; dziwaczne nazwisko odbierało mu całą powagę. Miałam także metra włoskiego języka, był nim stary, zatabaczony Rinaldi. Uczono i mnie po włosku z nadzieją, że kiedyś będę śpiewała, czego mama bardzo pragnęła — zawiodła się, brakło mi głosu.

To stanowiło całą naukę moją. O polskim języku nie było nawet mowy. Wprawiałam się za to w haft na kanwie. W chwilach wolnych siadałam przy krosienkach naprzeciw opiekunki mojej, pomagałam jej z ochotą.

Z początkiem lata przybyłszy do Bzin. Stryj Feliks zabrał mnie, zawiózł do stęsknionej mamy. W parę dni potem przyjechali wujostwo.

— Urosłaś mi bardzo — rzekł wujaszek przy powitaniu — myślę, że i w głowie twojej przyszło coś nauk. Zobaczmy to wieczorem.

Zmieszałam się trochę, sumienie mówiło mi, że oprócz francuszczyzny i nieco włoskiego języka, niczego się więcej nie nauczyłam. A jednak nie traciłam fantazyi. Pewna byłam, że zaimponuję ustępem z Zairy i śmiercią Hipolita.

Po wieczery usiedliśmy wszyscy przed domem, wuj

przystąpił do egzaminu. Wziął papier i ołówek, miał pisać stopnie.

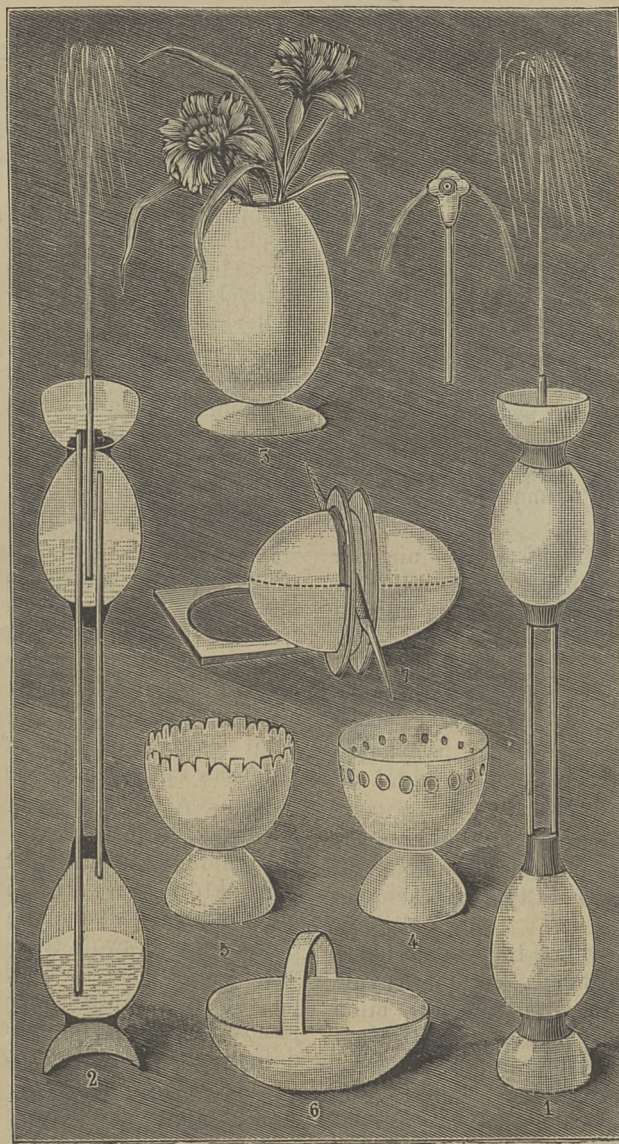
Zaczął od dziejów Polski; płatałam się bardziej niż przed rokiem, już nietylko w następstwie Piastów ale i Jagiellonów. Zapomniałam o królu Albrechcie.

Wujaszek nie rzekł nic, ale na papierze zaznaczył kreskę poziomą.

— Co to znaczy? — pytałam niespokojna.

— Minus, to jest, że mniej umiesz aniżeli przed rokiem. Spuściłam smutnie głowę.

Wybadawszy mnie z geografii, wuj nakreślił kółka na papierze. Stałam zarumieniona.



Wyroby ze skorupki świeżych jajek.

— To zero znaczy, — rzekł — że się nic nie nauczyłaś, ale też i nic nie zapomniałaś.

W rachunkach też sama była stagnacya.

— A teraz, wujaszku, język francuzki — zagadnęłam pewna tryumfu.

— O! co w tem, toś mnie zapewne prześcignęła. Zobaczmy — dodał, spoglądając na mamę.

Pochwyciłam pierwszą książkę jaka mi w rękę wpadła. Była to mała książeczka do modlitwy, ślicznie oprawna w fiolkowy safian ze złoconemi brzegami. Otrzymałam ją w dniu imienin.

Wujaszek zmarszczył brwi, spojrzął mi ostro w oczy.

— Co widzę? — zawołał — francuzka książka do nabożeństwa? Czy modliłaś się na niej?

— Tak, mój wujaszku, brałam ją nawet do kościoła. Wszakże Pan Bóg rozumie wszystkie języki.

— Rozumie, wiem o tem — odparł wuj — ale wymaga, aby każdy modlił się własną mową. Daj mi słowo, że odtąd będziesz się modliła tak, jak cię wyuczyła matka.

— Przysięgam, mój wujaszku.

Pobiegłam po inną książkę, przetrzepałam kartkę z jakiejś powiastki. Zagadniona o reguły gramatyczne odpowiadałam śmiało. Wuj nakreślił wielki krzyż na papierze.

— Co to jest? — zapytałam.

— To znaczy *plus*, czyli wygrana.

— A teraz wyrecytuję wiersze, czy wujaszek pozwoli?

— Słucham cię — rzekł z uśmiechem.

Powtórzyłam patetyczną perorę Lusiniąna do Zairy. Oczy mamy zapłonęły radością. Wujaszek przyklasnął.

— Powiedz-że mi — zapytał — kto jest autorem tej tragedyi?

— Wolter — odrzekłam śmiało.

— Wolter! — zawołała ze zgrozą mama — takich-że to herezyi uczono ją w Warszawie?

— Uspokój się pani sestro — rzekł wuj — nie ma w Zairze najmniejszej herezyi; przeciwnie, ktoby sądził Woltera z samej tylko Zairy lub Alziry, wzięłby go za bardzo pobożnego człowieka.

Stryj Feliks przywodził wujowi.

— Ja umiem także piękne wiersze z Alziry — szepnęłam ośmielona.

— Nie chcę ich słyszeć — przerwała mama, zatykając uszy. — Bezcenny obłudnik! pali świeczkę Bogu, a oddał się w służbę szatana. Zapomnij mi tych bredni.

Chciałam być posłuszną, nie mogłam, trudno nauczyć się, trudniej jeszcze zapomnieć. Dotąd umiem na pamięć słowa Lusiniąna, lubo się wcale nie zachwyam tym napuszonym dytyrambem.

Wyprawiono mnie spać. Późno w noc toczyła się nara-da, pomiędzy mamą a stryjem i wujostwem, co dalej czynić ze mną. Stanęło na tem, że po żniwach mama odwiezie mnie do Warszawy, na pensję pani Wilczyńskiej. Wiedziałam od wuja, że na pensyi, profesorowie wezną mnie na egzamin przed rozpoczęciem nauk. Aby mi go ułatwić, kochany wujaszek odwiedzał nas często przed wyjazdem, wskazywał mi książki, czuwał nademną, budził we mnie odwagę.

Przybyliśmy do Warszawy jesienią, stanęliśmy na podwórzu domu p. Wojickich. Nie był to właściwy hotel, przyjmowano tylko zarekomendowanych gości. Mama pozostała dni kilka w Warszawie. Odwiedziliśmy zaczął gospodynię domu; przedstawiła mamie syna, który tylko co powrócił z wycieczki po Wielkopolsce. Wydrukowano własne jego trzytomowe przysłówia. Lubiłam bardzo książki, mama zaszczepiła mi wielkie dla nich poszanowanie.

Tych, co je piszą, wyobrażałam sobie jako ludzi nadzwyczajnych, niepodobnych wcale do zwykłych istot. Wielki też był mój podziw, gdy w panu Kazimierzu Wojickim, nie spostrzegłam nic niezwykłego. Odzywał się tak samo jak i drudzy. Przemówił nawet do mnie; pytał, czy mam ochotę do nauk, wspomniawszy kilku profesorów, którzy dają lekcye na pensyi pani Wilczyńskiej. Jakże byłam dumna z tych kilku słów, zamienionych z człowiekiem, którego książki drukowa-

no, jakże się zdziwiłam, że mówił poprostu, nie tak pompatycznie jak Lusiniąn do Zairy!

Zawiozła mnie mama na pensję przy rogu ulicy Świętojerskiej i Placu Krasieńskich. W głębi dziedzińca dom z ogrodem, mieścił w sobie trzydzieści pensyonarek, kilka nauczycielek i służbę odpowiednią. Przychodziło oprócz tego kilka uczennic z miasta.

(d. n.)

Nad wodami Bałtyku.

(Dalszy ciąg).

Sambor zresztą, pierwszy znany w historii kaszubski książę w dawniejszych równie czasach, bo w 1100 jeszcze roku zamieszkały w Gdańsku, starał się wpłynąć na ukrócenie zuchwałstwa Ganipotów i surowe przeciw ich nadużyciom postanowił prawa. Potomek jego, Sobiesław I, przyjąwszy wiarę chrześcijańską, niemniej przestrzegać się starał spokoju obywateli i swawoli dzikich, germańskich przybyszów, rozsielonych na wybrzeżach. Nie dziw zatem, że Ehberd, pan na Adlerhorscie ważył się z myślami swemi, zanim miał wystąpić jawnie z żądaniem okupu. A nużby wtedy wydało się, że złupił rozbity okręt i wymordował część załogi? Paliła go pomimo to żądza złota i w końcu bądź co bądź postanowił próbować szczęścia.

Zbliżała się zresztą ponura jesień, a branka, którą widywał jedynie Morun, ażeby w danym razie nie znała nikogo więcej ze swoich gnębicieli, jak on powiadał, coraz bledszą się stawała, i kto wie, czyby zimę przetrzymać mogła w zamczysku, gdzie mroźne wiehry hulały po źle opatrzonych komnatach. Pewnego zatem wieczoru, gdy morze złowrogim szumem zdawało się zapowiadać zbliżanie burzy, a pomimo to nie dano znać o pojawieniu się żadnego okrętu, mogącego obudzić nadzieję zdobyczy, Zygryd niby sam przez się, a w rzeczy samej z polecenia wodza, począł rozpytywać młodego chłopca, jakby sobie radził, gdyby miał dotrzeć do Gdańska i porozumieć się z Faltynami.

— A juści — odparł Morun — że nie powiedziałbym mu zaraz, że to wy mnie wysłaliście, ieno najpierw jako rybak, zamieszkały w tych stronach, słyszałem tylko coś o pięknej pani, którą przygarnęli mieszkający nadbrzeżni w czasie rozbicia okrętu i wydać nie chcą jej schronienia wpraw, aż odbiorą okup za swoje trudy w niesieniu jej pomocy. Nie zdziwiłoby to kupca, bo wiedzą oni wszyscy, że ludność tutejsza nabrała obyczajów panów morza, którym podlega, a niema jeszcze wpośród niej chrześcijan, którzy jedynie starają się dobrze czynić, nie żądając za to zapłaty.

— Głupi to lud — rzekł, wzruszając ramionami Zygryd — ale ty coś o nim często wspominasz — dodał podejrziwie — czyżbyś ich znał bliżej — bo to nie zalecałoby cię nam wcale.

— Nie zaprę się, że widywałem ich nieraz, bo byłoby to daremne, gdyż handlując rybami, musiałem się przecież uwijać wśród osiadłych tu i tam ludów, nie zaprę się także, że obyczaj ich daje większą rekojmję dotrzymania umowy, aniżeli obyczaje innych, Faltyn jest chrześcijaninem, więc można być pewnym, że dotrzyma umowy.

Odwaga i pewność młodego chłopca widocznie podziałała dobrze na starego opryska, bo wierzył mu więcej niż komu innemu, choć sam nie chciał tego przyznać. I teraz po zamienionych z nim słowach przekonany był w głębi duszy, że powiedział prawdę. Ale bo też Morun nie od dziś dopiero zdobył jego zaufanie, podobała mu się najpierw śmiała jego postawa, gdy przyszedł jako ochotnik zaciągnąć się w szeregi zamkowej załogi, a potem nie miał mu nigdy nic do zarzucenia, bo gdy inni żołdacy w czasie pokoju unikali wszelkiej

roboty, i zaledwie broń oczyścić chcieli, on spokojnie i bez przechwałek pełnił wszelką posługę domową. Posyłano go też do osad okolicznych ilekroć trzeba było postarać się o żywność, a zawsze sprawiał się lepiej niż drudzy.

Spokojny, cichy i pracowity, umiał przytem zażegnać swary wpośród swych towarzyszy i rzeczy można, że spokój i miłość rozsiewał dokoła, bo najdziksi nawet z rozbójników polubili go potrosze i nieraz posłuchali jego rady lub prośby. Wpływowi temu uległ najpierw stary Zygfryd a powoli oddziaływał on i na wodza. Znacznie trudniej byłoby chłopięciu wytrwać wśród załogi, do której służby wstąpił jedynie dla miłości Chrystusa, którego był wyznawcą, jak to już wspominaliśmy. Aby zaś wiedzieć co go do tego skłoniło, musiny się zapoznać z Oliwskim klasztorem, leżącym w pobliżu wśród dzikich jarów i puszczy leśnych. Dawna legenda mówi, iż założyciel jego Sobiesław, I-szy pomorski książę, polując w tych stronach zabłąkał się wśród niedostępnych kniei i oddalony od swego orszaku, ujrzał nagle olbrzymiego dzika, który rzucił się na niego z wściekłością. Książę chciał się bronić oszczepem, ale koń jego potknął się i upadł, a oszczep zamiast trafić w dzika, utknął w biodrze księcia. Zdawało się, że już zginąć musi, gdy nagle pojawił się na jego ratunek sędziwy pustelnik.

Zastłoniwszy ranionego przed dzikiem, uprowadził go następnie do chaty swej w głębi lasu. Tutaj opatrzył mu ranę i Sobiesław strudzony, zasnął na mechem wysłanem łożu, a we śnie tym miał rajskie widzenie. Zdawało mu się, że był w pięknym ogrodzie pełnym pachnącego kwiecica i widział jasnego anioła trzymającego w ręku gałązkę oliwną, który przemówił do niego w te słowa: „Sobiesławie, Bóg prawdziwy obrał ciebie za narzędzie swej łaski, ażebyś lud swój wybawił z pogaństwa. Porzuć jego błędy, przyjmij wiarę głoszoną przez Syna Bożego, która zbawić może jedynie ciebie i rodzinę twoją, podobnie jak zbawia wszystkich co ją wyznają szczerem sercem. Obudziwszy się Sobiesław, ujrzał u wejścia swego pustelnika z jasnym krzyżem w ręku. Ukorzył się przed znakiem zbawienia i prosił świętobliwego starca, ażeby go nauczył prawd tej wiary, którą wyznawać pragnął. Pustelnik ochrzcił go wtedy, a on ślubował na tem miejscu wnieść przybytek Panu wraz z klasztorem, w którym zamieszkaliby zakonnicy krzewić będą naukę Chrystusową w całym kraju pomorskim. I oto jak powstał oliwski klasztor Cystersów, który wspaniałością swoją po dziś dzień zwraca uwagę wędrowców, lubo Cystersów już w nim niema. W czasach naszego opowiadania wszakże dzielnie oni krzewili wiarę wśród na pół dzikiego ludu i złagodzili jego obyczaje. Garnęli zwłaszcza do siebie dzieci rybackie i młodych wyrostków. Pomiędzy temi był Morun, osierocony po śmierci obojga rodziców.

Nauka Chrystusa znalazła w nim gorliwego wyznawcę, a w miarę jak wzrastał rozgorzał wielkim zapalem dla Boskiego Mistrza i radby był życie zań poświęcić, idąc na męczeństwo pomiędzy pruskimi pogan, ale wstrzymał go od tego ojciec Hilarion, zakonnik, który go wyuczył zasad wiary i posiadał całe jego zaufanie.

— Pogan nie brakuje i tutaj — mówił — możesz iść pomiędzy nich również z narażeniem życia i przywieść niejednego z nich do Boga, którego nie znają.

Wtedy to w duszy Moruna powstała myśl udania się do Adlerhorstu i przyjęcia służby wśród zbójckiej załogi, aby z czasem mózdz wpłynąć na jej obyczaje. Modlił się gorąco o ziszczenie swych zamiarów a modlitwy te śnać były wysłuchane, skoro w pierwszej wyprawie rabusiów udało mu się ocalić dwie niewinne istoty, a przed tem jeszcze zjednać sobie potrochu towarzyszy, których oświecić i zbawić pragnął. Czuł, że teraz więcej niż kiedy mógł ich ku sobie skłonić, przeprowadzając pomyślnie sprawę, którą mu powierzyć miało, postanowił więc nie szczędzić po temu starań, chociażby się miał narażać na największe niebezpieczeństwo. Jakoż niedługo potem wyruszył do Gdańska. Żegnając Ehberta i Zygfryda, wyrzekł, iż gdyby życiem przyszło przypłacić milczenie, nie wyda tego coby ich narażać mogło na zemstę

Gdańszczan. A w głosie jego brzmiała taka stanowczość i prawda, iż obaj rozbójnicy uczuli w głębi duszy, że mu zawierzyć mogą. Pani Berta ze łzami żegnała swego opiekuna i obrońcę, omdlewając z trwogi, co pocznie, gdy pozostanie samą w gnieździe opryszków.

— Paniętaj, że Bóg czuwać będzie nad tobą pani, mówił jej, a nadto i na ziemi mieć będziesz opiekuna. Idąc do Gdańska wstąpię do Oliwskiego klasztoru, a gdybym zginąć miał w drodze, ojciec Hilarion, zakonnik taumeczny, którego zawiadomię o twoim losie, czuwać będzie nad tobą i dopełni tego, co mnie zdziłać danem nie będzie. Zapewnienie to natęchnęło niejaka otuchą nieszczęsną brankę, postanowiła zatem godzić się ze swym smutnym losem, o ile to w mocy jej będzie.

Wyszedłszy zrana, w południe zaledwie Morun znalazł się u bram klasztoru, przedarłszy się przez dzikie wąwozy i zarośla puszczy leśnej, gdzie nadto tamowały przejście łomy i zawały drzew spruchniałych. Po raz to pierwszy od czasu wstąpienia w służbę opryszków odwiedzał on ojca Hilariona, musiał zatem opowiadać mu długo wszystko, co przeszedł od owego czasu. Pobożny zakonnik rad był ze swego wychowania, cieszył się, iż umiał sobie zjednać opryszków, na początku swego dzieła wzbudzając w nich nawet pewne zaufanie, zachmurzył się wszakże, gdy Morun opowiedziawszy o uwięzieniu Berty i jej syna i wyjawiał mu posłannictwo swe do Faltyna.

— Nie taka to rzecz łatwa do spełnienia jak ci się wydaje, dziecię moje — wyrzekł po chwili milczenia, w której zastanowił się nad tem co chłopcu doradzić wypada. — Do Gdańska dostać się łatwo, ale dojść do Faltyna trudno, tem więcej, że ludzie jego strzegą pilnie do niego przystępu, jak zwyczajnie do bogacza, któremu wielu uprzykrzać się pragnie. Wezmą cię za jednego z takich, a przecież powiedzieć nie możesz po co przychodzisz? A gdybyś i doszedł do niego wreszcie, jakież mu powiesz, że jesteś posłannikiem tych, co mają w swej mocy jego niewiastę i syna.

Tu Morun dobył szybko z woreczka, który miał zawieszony na piersi złotą obrączkę.

— Pani Berta — wyrzekł — dała mi ten pierścień dla pokazania go jej mężowi. Gdy go zobaczy, uwierzy mi.

— Dobrze, że masz znak ten — rzekł ojciec Hilarion — choć pierścień należeć może zarówno do żywej jak do zmarłej... ale mąż pragnący odzyskać żonę i dziecię chwyci się z pewnością nawet cienia nadziei i zadowolni się tym dowodem danego ci polecenia.

Nie na tem jeszcze skończyła się rozmowa Moruna z sędziwym zakonnikiem, rozważny młodzieniaszek przewidywał, że różne niespodziewane przeszkody opóźnić mogą powrót jego do Adlerhorstu, a co wtedy pocznie branka, jakież los ją spotka gdyby skutkiem złej przygody w podróży żyw się nie dostał z powrotem? Otóż na wypadek taki uprosił jak to przyobiecał Bercie, ojca Hilariona iżby skoro powrót jego opóźni się zbyt znacznie, to jest nie nastąpi w przewidzianym przypuszczalnie czasie, w którym rzecz cała winna być załatwiona, ojciec Hilarion sam jako zakładnik uda się do Adlerhorstu, a jednocześnie do Gdańska wyprawi zakonnego brata, któryby odszukał Faltyna i zalecił mu pośpiech w wyzwoleniu jeńców opryszków, bez narażenia tychże na zatajki ze sprawiedliwością i prawem. Uspokojony otrzymanem przyrzeczeniem, że wszystko się stanie jak pragnął, Morun udał się w dalszą drogę i równo z zachodem słońca stanął pod murami Kaszubskiej stolicy.

Znał on dobrze gospodę rybacką, w której wypoczywał wraz z ojcem po skończonym targu, tam więc skierował swe kroki. Gdy uchylił drzwi, gospodarz pozdrowił go w progu.

— A witajże mi chłopcze — wyrzekł — czemuż już od tak dawna nie widziałem ani ciebie, ani ojca. Czemuż żaden z was nie zajrzał do miasta? Wyrosłeś i dziwię się, że cię poznałem. Wysiadujecie pewno u Hansa na drugim końcu ulicy, lepsze tam zapewne jadło i napoje niż u mnie — dodał z przekąsem.

— Nie, panie Walterze — odparł Morun wzruszony przypomnieniem ojca — nie zapominam starych znajomych, tylko nieszczęście nawiedziło mą chatę. Ojciec mój nie żyje a ja porzuciłem rybackie rzemiosło, bo ciężko mi wydołać w niem samemu. Stary przyjaciel rodziców pilnuje mi domostwa i tego co w niem pozostało, ja zaś udałem się do Oliwy, gdzie dobrzy ojcowie nauczyli mnie prawd wiary Chrystusowej, którą gorąco umiowałem.

— No, to dobrze, pocziwi byliście ludzie i ty i ojciec, to szkoda ci było zmarnieć w pogaństwie. Ale teraz pewno chcesz znaleźć służbę w mieście?

Słowa gospodarza były dla Moruna jakoby natchnieniem do dalszego postępowania, daremnie bowiem trudił się w drodze jak wytłomaczyć przed ludźmi, którzyby go pytali o powód jego przybycia do Gdańska. Mówiąc, że szuka pracy nie zmiął się zresztą z prawdą, bo skoro tylko udałoby mu się wpłynąć na opryszków i nakłonić ich do zmiany życia, zamierzył umieścić się w jakim chrześcijańskim domu w mieście, mógł się więc zawczasu o służbę przepytować:

— Tak jest — odrzekł pospiesznie — jakkolwiek czas jakiś pragnąłbym jeszcze pozostać wolnym i ćwiczyć się w wierze i uczynkach dobrych, do których znajdę pole na naszych dzikich wybrzeżach, radbym się przepytać o jaki dom zacy, gdziebym się mógł przydać do służby, a gdyby się jaka tniała gotówby nawet przyjąć ją zaraz.

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Pamiętka Jelinka w Tatrach. — Tekla Gumpert. — Drzewa gumowe. — Najdroższy fortepian. — Nowy rok w Chinach. — Pogrzeby w Japonii.

Badacz i znawca Tatr, profesor Walery Eliasz, artysta malarz, zaprojektował uczczenie pamięci zmarłego w Pradze Edwarda Jelinka przez umieszczenie tablicy pamiątkowej w dolinie Strążyskiej w Zakopanem i nazwanie zakątka tego imieniem zmarłego. Ś. p. Jelinek był w Zakopanem i lubił tę miejscowość, pomysł przeto prof. Eliasza ma być wkrótce urzeczywistniony.

Zmarła niedawno w Dreźnie znana niemiecka autorka powieści dla młodzieży, Tekla Gumpert, urodzona w Kaliszu w 1810 roku. Pomimo sędziwego wieku, nie przestawała pisać i zostawiła znaczną liczbę powieści, czytanych ogólnie z zajęciem. W młodszych latach była nauczycielką u księstwa Radziwiłłów i Czartoryskich. W roku 1856 wyszła za mąż za radcę Schobera i zamieszkała w Dreźnie.

Jedno z pism naukowych obcych podało obecnie wiadomość o odkryciu na południu Nubii gromady drzew gumowych, wydających przy poruszeniu wiatru odgłosy podobne do dźwięku fletu, przez kolce, któremi są najeżone ich gałęzie. Dźwięk ten pochodzi, niby z drobnych flecików, z kol-

ców przez które wtedy wydobywa się guma. Drzewo to, noszące nazwę: *tsosfor* przezwane zostało drzewem świstającym.

Najdroższy fortepian, jaki istnieje na świecie, znajduje się w Paryżu w sali wystawowej słynnej fabryki fortepianów Erarda. Zrobił go w roku 1808 założyciel tej firmy Sebastian Erard na obstalunek. Napoleon I ten drogocenny instrument ofiarował żonie swej, cesarzowej Józefinie. Gdy po upadku drugiego cesarstwa zabowano Tuilerye, po klasce sędańskiej, fortepian ów został skradziony i później dopiero na wyprzedaży przedmiotów starożytnych odkupił go przedstawiciel obecny firmy Erarda. Wspaniały instrument ten, cały z drzewa różanego, inkrustowanego złotem, posiada klawisze z masy perłowej i szyldkretu, wewnątrz zaś jest wyłożony kosztowną i piękną emalią.

Dzień nowego roku jest najuroczystszym świętem w Chinach. Pozamykane są wtedy wszystkie sklepy i domy handlowe, jakkolwiek w inne dni roku wszyscy pracować muszą, nie wyłączając i mandarynów, którzy mają niekiedy bardzo dużo zajęć. W porze nowego roku natomiast mają cały miesiąc wakacy i tylko naglące, nie cierpiące zwłoki sprawy, bywają załatwiane. Co rok sekretaryat stanu w Pekinie oznajmia, którego dnia oficjalne pieczęcie urzędników w całych Chinach mają być „odłożone na spoczynek”. W roku bieżącym 23 stycznia był tym dniem, w którym dopełniona została ta nader ważna ceremonia. Najwyższy mandaryn w Szangaju padał najpierw trzykrotnie na kolana przed owiniętą w żółtą materję jedwabną (żółty jest kolorem cesarskim) pieczęć, i dotykał przytem dziewięć razy czołem ziemi. Następnie powtórzył tę ceremonię zwrócony twarzą do Pekinu. Podrzedniejsi cywilni urzędnicy jego stali przytem z jednej a mandarynowie wojskowi z drugiej strony. Skoro tylko mandaryn się podniósł, zgromadzeni podwładni utworzyli półkole, poczem każdy z nich zgiął raz kolano i dotknął trzy razy głową ziemi na znak powinszowania przełożonemu z powodu, że na krótki czas pozbył się trosk urzędu. Przełożony sam uklonił się i odszedł. Następnie mandarynowie cywilni rozłączyli się z wojskowymi i chodzili do mieszkań wysokich urzędników i oficerów według rangi i powtarzali u każdego tę samą ceremonię. Przytem liczba chodzących coraz się zmniejszała, tak, że najniżsi mandarynowie cywilni i wojskowi sami już oddawali pokłon swoim pieczęciom.

Z okazji zaszłej w tych czasach śmierci cesarzowej japońskiej, grabarze na jej pogrzebie ukazali się jak zwykłe, gdy kopią grób dla którego z członków rodziny cesarskiej, w nader niezwykłym stroju. Ponieważ żaden wierny syn Japonii wyobrazić sobie nie może, by jakikolwiek obywatel japoński mógł stać ponad trumną członka rodziny mika-da, przeto grabarze musieli się na ten pogrzeb przebrać za wrony. Podczas całej uroczystości przestrzegane było pilnie, aby uważani byli za ptaki.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Fosforescencya roślin (z ryc.) — Wyroby ze skorupki świeżych jajek (z ryc.) — Wiosenny dar, wiersz przez E. M. — Wspomnienia z pierwszych lat moich, przez Sewerynę Duchinińską. — Nad wodami Bałtyku p. A. B. — Z dalszego świata. — Dodatek: — Rozmowa z mamą przez A. R. (z ryc.) — Z nudów, komedycja w jednej odsłonie. — Bez domu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

ROZMOWA Z MAMĄ.

(Dokończenie).

— A to wrony lepiejby robiły, gdyby zjadały chrabąszcze, kiedy one takie szkodne.

— Wyręczają je w tem inne ptaki, które je łowią skwapliwie; nawet kury domowe i kaczki chętnie je zjadają, gdy, uśpione w czasie upału, spadają z drzewa. Te jednak, które zdołały ująć śmierci, kopią sobie ostrym kolcem, znajdującym się na końcu ciała, dołek w ziemi, i samica składa w niego do 30 jajek; gdy je w ziemi zagrzebie, sama umiera, a po kilku tygodniach z jajek tych wylęgają się gąsieniczki, tak małeńkie, jak koniuszek nitki.

— Ależ to biedne robaczki, odrazu sierotami się rodzą i nie znają swojej mateczki?

— A tak, matka ich umarła, zanim się urodziły, ale też nie potrzebują one żadnej opieki, gdyż odrazu umieją sobie radzić doskonale, rozchodzą się na wszystkie strony i same sobie wyszukują pożywienia. Są bardzo żarłoczne,



Chrabąszcz.



Gąsienica.



Poczwarka z dołu i z góry widziana.

ogromnie dużo jedzą i rosną też prędko, a żywią się korzonkami roślin. Mówiłam ci już, że rośliny wyciągają korzonkami soki z ziemi i tym sposobem się karmią, gdy więc pędrak podgryzie korzonki, roślina schnie i umiera. Dlatego to rolnik przyjaźnie patrzy na wronę, jest ona w tym razie jego pomocnicą, gdyż oczyszcza ze szkodników rolę, w którą on ziarno zasiewa. Taki pędrak żyje sobie w ziemi trzy lata. Na każdą zimę zagłębia się w ziemi i przesypia parę miesięcy, na wiosnę się budzi i wędruje coraz dalej szukając nowych korzonków. Gdy wyrośnie już duży na wiosnę czwartego roku, znowu zakopuje się w ziemi bardzo głęboko, przygotowuje sobie, okrągłą, wewnątrz wygładzoną jamkę i tam zasypia na parę tygodni. Przez ten czas wyrastają mu pod skórka: skrzydła, nóżki, para różków na głowie, czyli wykształca się zupełnie doskonały owad, potem skórka pęka, a pędrak budzi się odrazu chrabąszczem. Z początku jest biały i miękki, ale niedługo powłoka ciała jego twardnieje i przybiera ciemną barwę, wtedy wylazi z ziemi, siada na drzewa, objada przez parę dni liście, potem składa jajka i umiera. Z jajek wychodzi nowa rodzina, która takie same przechodzi koleje.

— Ależ to naprawdę ciekawe są te chrabąszcze; jak jeszcze kiedy pójdę z wujkiem na pole, to sobie jednego pędraka przyniosę i dobrze mu się przypatrzę. Jakby to dobrze było, mamusiu, gdybym ja tak usnął na parę tygodni i odrazu obudził się dużym.

— Jakto, chciałbyś synku, bez pracy dobić się celu, tak nie można, przeznaczenie twoje inne. Będiesz rósł powoli, pracował, uczył się, aby się stać pożytecznym ludziom i Bogu miłym, a ja z radością będę patrzyła, jak mi rośnie w tobie przysły człowiek.

— O, tak, tak, to lepiej będzie, bo będę dłużej przy mojej mamusi. I znów patrzył z miłością w jej oczy i myślał, że lepszej i piękniejszej niema na całym świecie.

A. R.

Z NUDÓW.

(Dla kochanej Dziuni P.)

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY.

FLORCIA	}	kuzynki.
KAROLKA		
CESIA		
GENIA		
ALFRED	}	dwaj koledzy.
LEON		

(Rzecz dzieje się na wsi u rodziców Florci. Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany; z boku stoi duży fotel, parę krzesłek, obok stół, na nim książki i koszyczki z robótkami).

SCENA I.

(Cesia i Genia chodzą, czytając).

GENIA. Nic nie rozumiem, co czytam; ciągle myślę, że tylko jeden dzień przejdzie, i już będzie Wigilia Bożego Narodzenia. Ach! te godziny tak się wloką powoli...

CESIA (rzuca na stół książkę i siada w fotelu). Radzę ci Geniu, połóż książkę i siadaj, zajmiemy się trochę robótkami, przytem pogawędzimy; prędzej nam czas przejdzie. (Wyjmuje roboty z koszyczka, jedną podaje Geni. Przez chwilę pracują z zajęciem).

GENIA. Cesi, powiedz co, bo tak cicho siedzimy.

CESIA. Cóż ja ci mogę powiedzieć? Chyba to jedno, że dzisiejszy dzień jest okropnie nudny.

GENIA. Oj, prawda! To pewnie dlatego, że stryjostwo z ciocią Olimpią wyjechali.

CESIA. I wrócą dopiero za parę godzin, bo przecież do miasta jest całe dwie mile. Przytem sprawunków całą litanię spisali, nieprędko załatwią wszystko.

GENIA. Florcia z Karolką zajęły się znowu pieczeniem ciastek, mają być doskonałe, ale zanim spróbuję, wynudzę się tak, że wołałabym nie jeść ich wcale.

CESIA. Szkoda, że babunia wyjechała na święta do wuja Konrada.

GENIA (*śmieje się*). Ha, ha, ha! cóż ty myślisz, że babunia bawiłaby się z nami?

CESIA. Ech, co znowu! Ale ręczę ci, żebyśmy się nie nudziły, babunia opowiadałaby nam różne ciekawe zdarzenia ze swego młodocianego wieku... Jest to temat niewyczerpany.

GENIA. Wiesz, Cesi, co za pomysł przyszedł mi do głowy?

CESIA. No, co takiego? Może jakie lekarstwo na dzisiejsze nudy?...

GENIA. O, próżne twe nadzieje, nie jestem znowu tak pomysłowa, przyszło mi tylko na myśl, że i my kiedyś może będziemy babunią, będziemy mieć wnuczki...

CESIA (*wzrusza ramionami*). Hm, bardzo dużo mi powiedziałaś, że jak będziemy mieć wnuczki, to będziemy babunią. To mi nowina dopiero!

GENIA. Ale, bo ty Cesi nie dasz mi dokończyć, jeszcze przecież nie powiedziałam wszystkiego.

CESIA. Więc, co dalej? Gdy będziemy babunią...

GENIA. Będziemy miały wnuczki, które także nieraz będą się nudziły; żeby mieć zawsze co gotowego do opowiadania, spisujemy teraz wszystkie nasze wypadki i zdarzenia. Na starość będziemy już pewne, że nic nie zostało zapomniane.

CESIA (*śmieje się*). Ha, ha, ha! mało jeszcze mamy pisanego na pensyi!... Już ja wolę nie być taką wzorową babunią i nie pisać. Wielkie rzeczy, że moje wnuczki będą się nudzić!...

GENIA. Ja od dzisiaj piszę pamiętnik.

CESIA. Na pierwszej stronie napiszesz tak: „Nic nie mam do napisania, bo się nudziłam przez cały dzień.

GENIA. Tego nie mów, bo przecież jeszcze się dzień nie skończył; kto wie, jakie wypadki mogą nas spotkać.

CESIA. Ach, zapomniałam, że dzisiaj ma nastąpić ważne zdarzenie.

GENIA. Doprawdy? Mów, jakie.

CESIA. Zapomniałaś? Poznamy kuzynka Alfreda.

GENIA (*z radością*). Prawda, prawda! Kuzynek Alfred dzisiaj przyjedzie, i to niedługo może nastąpić.

CESIA. Ciekawam wrażenia, jakie na nas zrobi.

SCENA II.

(*Wchodzi Florcia i Karolka*).

FLORCIA. O kim Cesi mówisz, czy o kuzynku Alfredzie?

CESIA. Zgadłaś Florciu, o nim była mowa.

KAROLKA. Wkrótce będziemy miały przyjemność go poznać.

GENIA. Tymczasem ja się nudzę, Karolko, wymyśl co, żeby czas prędzej przeszedł.

KAROLKA. Czytajmy.

GENIA I CESIA (*razem*). Ech! Wymyśl co lepszego.

FLORCIA. Zajmijmy się robótkami.

CESIA (*rzuca na stół robotę*). Och! mam ich dosyć.

GENIA. I ja także.

KAROLKA. Cóż więc chcecie, żeby wam wymyślić? Nie rozumiem, doprawdy; zdaje mi się, że zajmąwszy się szczerze jaką robotą, zapomnielibyście o nudach.

CESIA. Tak, przyjechałyśmy tutaj na święta i będziemy pracowały, jak w zwyczajny dzień na pensyi; to mi się wcale nie podoba.

FLORCIA. A więc tańczmy, śpiewajmy.

GENIA. Ech! to mi pomysł! Tańczyć bez muzyki, albo napróżno głos marnować i w końcu jeszcze chryпки dostać na same święta.

KAROLKA. Kiedy wam wszystko złe, to każę piasku przynieść i bawcie się jak małe dzieci, może to was zajmie nareszcie.

CESIA. Ach! Karolciu, zamiast wymyślić co dobrego i zabawnego, ty z nas żartujesz.

FLORCIA. Karolko, Geniu, Cesi! Co za śliczna myśl mi przyszła!

GENIA. Florciu droga, jedyna, mówże, co takiego?

KAROLKA. Ciekawam bardzo tej myśli.

CESIA. Pewnie coś podobnego do zabawy piaskiem.

FLORCIA. Wcale nie; pomyślałam właśnie, że do brze byłoby urządzić jakiego figla Alfredowi.

GENIA (*z radością*). Piękna, śliczna, urocza myśl.

CESIA. Ja w niej nic ślicznego nie widzę, chyba to, że znów myśleć trzeba, jakiego figla urządzić.

KAROLKA. Może Florcia już wie.

FLORCIA. Nie jeszcze, ale zdaje mi się, że wspólnie co obmyślimy.

GENIA. A ciastka już zrobione?

KAROLKA. O! już dawno. Nie obawiaj się, nie pojedziemy już do kuchni.

CESIA. Wiecie, co zrobimy?

FLORCIA. Cóż takiego?

CESIA. Ukryjemy się wszystkie, gdy Alfred przyjedzie; będzie myślał, że nikogo nie ma w domu.

GENIA. Już nic gorszego nie mogłaś wymyślić.

KAROLKA. Ja już mam projekt wyborny.

GENIA. Ja jeszcze lepszy.

FLORCIA. Mówcież prędzej, bo czas uchodzi.

CESIA. Z pewnością te wasze projekta, mniej jeszcze są warte od mojego.

KAROLKA. Zobaczymy! Alfred nie zna nas zupełnie, przedstawimy mu się za kogo innego.

GENIA. Ach! wzięłaś mi moje myśli; to samo chciałam powiedzieć, tylko, że ja już sobie ułożyłam całą komedję. Otóż przebierzemy się w rzeczy babuni, stryjenki, cioci Olimpii i nauczycielki Florci, panny Maryi...

CESIA. Ja biorę rolę cioci Olimpii.

GENIA. Nie przerywaj mi, bo przecież nie skończyłam.

FLORCIA. To już nam dokończysz w garderobie, gdzie pojedziemy się ubierać, bo czasu szkoda, Alfred może nadjechać.

KAROLKA (*biegnie do okna*). Zdaje mi się, że już jedzie.

CESIA. Chodźmy!... (*wybiegają*).

SCENA III.

X.

(*Wchodzi Leon, ubrany po podróżnemu.*)

LEON. Nareszcie odpocznę tutaj, ta droga taka męcząca. (*zdejmuje palto i rękawiczki*). Ale co to znaczy, że nikt się nie pokazuje. (*Zbliża się do stolika*). Jak widzę nie jest to dom bezludny, są tu i panienki, przed chwilą pewnie ten pokój opuścili, bo robótki nieukończone. Ciekawym bardzo właścicielek tych robótek, czy to są małe, czy duże; czy ładne, czy też brzydkie; czy wesołe, czy też poważne. Trzeba być cierpliwym, czekać chwilę, to je wreszcie zobaczę, bo spodziewam się, że ktoś wyjdzie tu do mnie, już nawet trochę za długo czekam... Hm, może panie nie ubrane. (*Chodzi po scenie, po chwili bierze czapkę do ręki*). Tymczasem obejrzę ogród. (*Chce wyjść, lecz zatrzymuje się słuchając uważnie*). Zdaje mi się, że ktoś idzie, (*rzuca czapkę na krzesło*). Nareszcie namyślili się. Ciekawy jestem, kto to się zbliża.

SCENA IV.

(*Wchodzi Florcia ubrana w długą, szeroką spódnicę, gruby kaftan watowany, w białym czepku i okularach na nosie. Idzie wolno, za nią postępuje Cesia, uczesana modnie, także w długiej sukni*).

LEON (*kłania się z daleka*). Przepraszam bardzo, że osmielałem się...

FLORCIA (*drżącym głosem*). Chodźże drogie dziecko, niechże cię uściskam!

LEON (*zbliża się i całuje Florcię w rękę*). Zapewne państwo już wiedzą od...

FLORCIA (*przerywa*). Wiemy, wiemy wszystko kochanku.. Przywitajże się teraz z ciotką Olimpią. (*siada na fotelu*).

LEON (*zmieszany*). Zapewne zaszła omyłka, bo ja...
(*d. n.*)

BEZ DOMU.

(*Dokończenie*).

Tym sposobem nie było wątpliwości co do stosunków bliskiego pokrewieństwa tych pań z Kazią, w której dla tego tylko pani Korecka nie odgadła od razu siostrzenicy swojej, że nie znała stosunków rodzinnych zmarłego szwagra, a nazwisko Wnorowskich było wspólne wszystkim mieszkańcom wioski. Nauczycielka prosiła też państwa Marcinostwa, aby jej i babce ustąpili praw opieki nad dziewczynką, która stać się miała najpożądanejszą pociechą w osamotnionem ich życiu.

Łatwo się domyślić szczęścia Kazi gdy się dowiedziała, że ma na zawsze pozostać z temi dobrymi paniami, do których od pierwszej chwili serce jej tak lgnęło! Z radości rzuciła im się na szyję a ściskając kolejno babcię i ciotkę, wołała:

— To ojciec i mamusia usłyszeli moją modlitwę pod drzewem i uprosili Pana Boga, że mi zesłał takie dobre i kochane opiekunki!

Upłynęło lat kilka; Kazia pod troskliwą opieką babci i ciotki rosła szczęśliwie i zdrowo, a wywdzięczając się za ich trudy, była tak posłuszną, łagodną, uprzejmą, uczyła się z taką ochotą i pilnością, że ją wszystkim dzieciom w szkółce za przykład stawiano. W naukach też szybkie czyniła postępy, nieza długo miała zdać egzamin, aby móżdż wyręczać ciotkę w trudnych i mozolnych obowiązkach nauczycielki. W niedzielę często chodziła z panią Korecką odwiedzić stryjostwo, stryj witał ją zawsze życzliwym uśmiechem i czasami nawet głaskał pieszczotliwie po głowie. Braci stryjecznych rzadko widywała; Jaś ukończywszy nauki w szkółce elemetarnej pani Koreckiej, udał się do Warszawy i tam kształcił się na mechanika, pragnąc rodzicom przyjść kiedyś z pomocą. Franek chociaż w domu zawsze przebywał, wstydząc się prawdopodobnie postępowania swego z siostrzyczką, chował się przed nią ile razy przychodziła w odwiedziny do jego rodziców.

Tymczasem nieszczęście wielkie spadło na całą okolicę: ospa pojawiła się we Wnorach. Straszna ta choroba tysiące ofiar zabierała zwykłą, a tem więcej po wsiach, gdzie ludzie nieogłędni nie słuchają rad światłych lekarzy i powtórnem szczepieniem ospy nie zabezpieczają się przeciw zarazie. Jednym z pierwszych zapadł na tę chorobę Franek; długi czas w silnej gorączce leżał nieprzytomny, a potem gdy krosty nabrały materyą, nie zważając na przestrogi starszych, tak niecierpliwie tarł swędzące wyrzuty, że się na twarzy uformowała jakby jedna skorupa. Nieszczęśliwy chłopak w srogich męczarniach spędził parę tygodni, gdy zaś zaczął odzyskiwać siły, pokazało się, że w skutek ciężkiej choroby wzrok jego był chwilowo zagrożony.

Straszna była rozpacz biednego Franka; nie mógł pogodzić się z myślą, że może nie widzieć pięknego świata Bożego, że będzie niedołężnym kaleką, potrzebującym na każdym kroku pomocy i wsparcia drugich. Rozpacz jednak nie zmienia wyroków Stwórcy naszego i nieszczęścia, choroby, najcięższe zesłanie od Boga przyjąć należy z pokorą.

Dnia jednego pani Marcinowa zeszpeconego ospą i wycieńczonego chorobą chłopca, wyprowadziła przed dom, aby na słońcu ogrzać zeszytniałe członki. Franek blady, z bolesnym wyrazem smutku na twarzy, siedział na progu, ciężkie westchnienia wyrwały mu się z piersi a ciche łzy spływały po policzkach. Naraz uczył drobną rączkę ściskającą życzliwie dłoń jego.

— Kto to? — zapytał zdziwiony.

— To ja, twoja siostra Kazia — odpowiedziała słodkim głosem dziewczynka — dawno już chciałam przyjść do was, ale babunia i ciocia podczas trwania zarazy nie chciały na to zezwolić. Teraz jednak, kiedy niebezpieczeństwo minęło i wiem, że wam przydać się mogę, przychodzę czas jakiś z wami zamieszkać. Pragnę choć w części zastąpić cię w zajęciach domowych i tym sposobem odwdziżyć cię stryjostwu, którzy mnie pierwsi do siebie przygarnęli. Tobie zaś mój biedny braciszku postaram się, o ile to w mojej mocy, słodzić chwile powrotu do zdrowia. Będę cię prowadziła na przechadzkę, czyty-

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyły Wiewiórka i Olcha.

Z następujących sylab: Lu—e—szan—za—e—ko—dis—dar—le—fez—rrec—son—ska—ty, ułożyć 6 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożą imię i przydomk króla polskiego 1279—1288.

Znaczenie wyrazów: 1) Nazwa miesiąca. 2) Słynny wynalazca naszych czasów. 3) Chorągiew wojskowa. 4) Autorka wielu książek dla dzieci. 5) Starożytne miasto w Syryi. 6) Miara zboża.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 16-go

Szarady: Ho — san — na.

Łamigłówniki w kwadracie :

G o p l a n a
O n t a r i o
O r i n o k o
Z a l e s k i
A n d r z e j
C r e m o n a
H o a n g h o

Gniezno.

Skrzynka do listów.

Jadwini F. Początek powieści posyłamy, ciesząc się serdecznie, że Wieczory tak są mile witane przez naszych kochanych czytelników. Próby kaligrafii dziewięcioletniego braciszka oczekiwać będziemy, czy sam coś napisze, czy przepisze z książki—wszystko jedno, byleby próba zajmowała jedną, lub dwie stronnice arkusza.

Postaramy się zadość uczynić prośbie *Helenki M.* o ile tylko przysłana łamigłównka okaże się odpowiednią.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek otrzymaliśmy od *Raka* z Siedlisk, *Dyonizego C.*, *Wacława W.*, *Melki C.*, *Stefci C.*, *Małpki* z Borneo, *Jadzi G.* ze Stanisławowa i *Romana Gw.*, nadto jeszcze od dwójga ostatnich zagadkę i łamigłównkę.

Pośmięciuszce. Przez jaskółki—jaskółce list twój posłałaś, a że serdecznego dozna przyjęcia, wątpić o tem nie mogłaś, bo czytając Wieczory od lat kilku, przekonałaś się, jak mi jest miłą każda wasza odezwa. Brakujące arkusze powieściowe wysyłamy. O dalsze liściki i pamięć usilnie proszę.

Ani Z. Że moja odpowiedź sprawiła ci przyjemność bardzo, jestem rada, ale żeś się jej nie spodziewała, to mnie mocno dziwi. Na wszystkie listy odpisuję, jakżebyś więc mogła tak miły, jak twój zostawić bez odpowiedzi? Zaginiony numer Wieczorów już musiałaś otrzymać, a premium, o które prosisz, postaramy się wkrótce przesłać.

Dwom Raczkom z Siedlisk za ślicznie napisane liściki i życzenia świąteczne bardzo dziękuję. Próby kaligrafii przedstawiają się bardzo ładnie, oddałam je Redakcyi i zdaje mi się, że o odznaczeniu śmiało myśleć możecie. Wspaniały pies na liście drugiego raczka, podobał się nam niezmiernie. Przesyła wam serdeczne pozdrowienie:

Jaskółka.

S Z A R A D A.

*Pierwsze z trzeciem ukryte w głębokościach ziemi,
Zbogaca przemysł kraju, skarby rozlicznemi.
Drugie wśród gamy śpiewnej ku końcowi staje.
Wszystko — to jak potrawa na stół się podaje;
To znów zdala od gwaru, w gęstym cieniu gaju,
Z wątlej piersi słowika rozlega się w maju.*

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WERSZE.

Nic nie dodając ani ujmując.

Na zielonej na dolinie w dali widzę małą wioskę, ogrodzony płotem domek, białą brzozę na zakręcie, długa droga do gościńca na niej topole i lipy; srebrna struga poza wzgórzem, a za strugą pole szczere. Na przydrożu, na pagórku, nawet prawie takież kwiatki, w bujnej trawie piołun dziki i bławatki w zbożu rosną. Gdyby jeszcze tam na boku na rozdrożu, na rozstaju krzyż się chylił, a dąb siwy u potoku, tobym myślał żeśmy już w kraju. Jaka chatka szczęsna, cicha, przy niej matka dziewcząt dwoje, czemuż to nie moje siostry, czemuż to nie moja matka.